

Chińska królowa śniegu

„Turandot” dla początkujących - tak można podsumować ostatnią w tym sezonie operową premierę Teatru Wielkiego.

Ostatnie dzieło Pucciniego po raz pierwszy zrealizowane zostało w Łodzi. Poprawnie i sumiennie, ale zachowawczo.

IZABELLA ADAMCZEWSKA

Adolf Weltschek i Małgorzata Zwolińska z krakowskiego Teatru Grotekska uważani są słusznie za konserwatyistów, nikt nie oczekiwał więc chyba po ich inscenizacji „Turandot” przesadnej oryginalności. W operowym debiucie Weltschka (reżyseria) i Zwolińskiej (scenografia) takich pomysłów nie ma. Pierwsza „Turandot” w łódzkim Teatrze Wielkim zrealizowana została po bożemu.

Aktorstwo nie dominuje nad muzyką. Sceny zbiorowe są ładnie zakomponowane, co nie jest łatwe w przypadku takiej liczby wykonawców. Problemem jest statyczność. Bywa, że drugi plan jest niezagospodarowany. W „Turandot” chór pełni bardzo ważną rolę i rzadko schodzi ze sceny. Nie jest dobrze, jeśli reżyser każe mu przestępować z nogi na no-



Warto na „Turandot” iść, zwłaszcza jeśli się nie zna tej opery

gę w tle, gdy uwaga widza koncentruje się na solistach. Plus za elementy teatru cieni - takich pomysłów mogłoby być więcej. Spływające z nieba chmurki niestety umiarkowanie dynamizują spektakl. Na obraz końcowy - drzewko wyrastające z bloku lodu - spuśćmy zasłonę milczenia.

Zwolińska poszukiwała tła mniej oczywistego, niż pagody, smoki i lampiony. Inspiracją stał się chiński krajobraz - skaliste góry i kamienny las. Osadzenie opowieści o odczarowaniu pięknej księżniczki lodu w pier-

wotnej scenerii ma sens. W pierwszym akcie Turandot pojawia się na łączącym góry moście, scenerię dla próby Kalafa tworzą skały o fallicznych kształtach, ale już rozwiązanie akcji następuje na miejskim placu. Z oddali dekoracje wyglądają nieźle, z bliska skały podejrzanie przypominają pomalowany farbą styropian.

Scenografię współtworzy światło. Zwolińska wykorzystuje symbolikę kolorów (biel i czerń jako dobro i zło, noc i dzień; biel i czerwień - niewinność i grzech), bawiąc się różni-

cami kulturowymi. W Chinach biel jest kolorem żałoby (a także kobiecego aspektu natury), czerń symbolizuje prawość (i aspekt męski). Na takim przeciwstawieniu oparta jest interpretacja postaci Kalafa (czarny strój) oraz Liu (biały). Różnica pomiędzy okrutną mścicielką Turandot a gotową do poświęceń Liu (typ „małej kobietki puccinowskiej”) również podkreślona została kolorem - tym razem opozycją pomiędzy bielą a czerwienią), lodem a ogniem.

Wyzwaniem były kostiumy - zarówno ich liczba, jak i różnorodność. Te zaprojektowane przez Zwolińską - wariacja na temat stroju chińskiego - są widowiskowe, ale widz ma wrażenie, że nieco od sasa do lasa. Na scenę wychodzą rzymscy wojownicy, a lud Pekinu wygląda, jakby wyszedł z baletowej „Ziemi obiecanej”. Timur natomiast stylizowany został na Gandalfa.

Muzycznie jest dobrze. Antoni Wit trzyma orkiestrę w ryzach, dbając o zróżnicowanie nastrojów, muzyczne niuansy i tempo. W spektaklu premierowym zaśpiewali gościnnie Koreańczycy - Lilla Lee i Charles Kim, którzy zresztą występowali już razem u Trelińskiego i Kudlicki. Piotr Kamiński podzielił się w „Tysiącu i jednej operze” anegdotą o białostockiej śpiewaczce, którą obsadzono w tytułowej partii w światowej prapremierze. Straciła wtedy głos. Bo rzeczywiście partia Turandot jest wymagająca - śpiewa się głośno i w wysokim rejestrze. Lee poradziła sobie znakomicie, choć

było widać, że wkłada w to dużo wysiłku. Trzeba docenić, że oprócz głosu (zimnego jak lód) ma też spore umiejętności interpretacyjne i aktorskie. Dobrze odegrała złość, kiedy Nieznany Książę odkrywa rozwiązanie jej zagadek i „odczarowanie” po złożeniu się przez Liu w ofierze. Trudno oczekiwać po „Turandot” psychologicznych niuansów, skoro przyjęta została konwencja bajki. Przerysowana gra Lee do niej pasuje. Charles Kim jako Kalaf nie rozczarował, choć tak mocnego głosu jak Lee nie ma i niekiedy zagłuszała go orkiestra. Publiczność ożywiła się oczywiście przy „Nessun dorma”, nagradzając tenora bravami. Niestety, Kim zachowuje twarz pokerzysty, nawet w obliczu śmierci Liu. W tej roli Dorota Wójcik, która miała kiepski początek, ale w drugim akcie się rozśpiewała, oddając liryzm swojej postaci. W komicznych rolach Pinga, Ponga i Panga wystąpili Łukasz Motkowicz, Aleksander Kunach i Łukasz Gaj, lepsi aktorsko niż wokalnie. Nadspodziewanie dobrze zaprezentował się przygotowany przez Dawida Jarzabę chór.

Dyrekcja Teatru Wielkiego zadbała o odpowiednią oprawę premiery. Przed wejściem do budynku zawisły lampiony, rozwinięto czerwony dywan, a przy kasach stanął chiński smok wykonany przez dzieci w trakcie warsztatów plastycznych. Hostesy rozdawały widzom ciasteczka z wróżbą. Nawet bez takich atrakcji warto na „Turandot” iść, zwłaszcza jeśli się nie zna tej opery. ●